



Prace wyróżnione w Konkursie literackim dla dzieci i młodzieży pt. „Siedzę w domu i piszę...”

kategoria wiekowa 14-18 lat



Spis treści

Wyróżnienie specjalne	
Marta Płatos • „Krople tchu”	3
Wyróżnienie specjalne	
Martyna Mroczek • „Gdyby miało nie być jutra”	6
Wyróżnienie	
Natalia Baranowska • „Kwiat pandemii”	9
Wyróżnienie	
Bartosz Łaski • „Najgorszy wróg Oskara”	12

Jury:

Dorota Koman – Przewodnicząca

Marcin Koziół

Katarzyna Majgier

Katarzyna Ryrych

Irena Koźmińska – Prezes Fundacji „ABCXXI – Cała Polska czyta dzieciom”

Redakcja opowiadań – Dorota Koman



Krople tchu

Wiercę się i krzyczę ogarnięta niepokojem. Wiem, że dzieje się ze mną coś niedobrego. Budzę się ze snu – koszmaru. Staram się oddychać i wsłuchiwać w szum wiatru, co zawsze dodaje mi otuchy. Rozglądam się dookoła i próbuję uświadomić sobie, że pomimo niesprzyjających okoliczności wciąż jestem bezpieczna.

Przenoszę się z miejsca na miejsce i mieszkam w opuszczonych, walących się budynkach. Niestety, nie jest to kwestia mojego kaprysu. Nie mam rodziny i miejsca do schronienia. Kiedyś było inaczej, ale zmieniło się to pod wpływem drastycznych wydarzeń, o których wolę zapomnieć. Dlatego ciągle staram się zmuszać do wykonywania codziennych czynności.

Wstaję, splatam swoje kruczoczarne włosy w warkocz, zakładam podniszczoną, skórzaną kurtkę i wychodzę na zewnątrz przez coś, co kiedyś było oknem. Zachowuję jak największą ostrożność i staram się nie zwichnąć sobie nogi na walającym się tutaj gruzie. Przedzieram się przez pozostałości ogrodu, aż wreszcie docieram do doszczętnie zniszczonego ogrodzenia. Bez wahania odnajduję w nim kilka sporych dziur. Podchodzę do jednej z nich i bez trudu przechodzę przez nią. W ten sposób znajduję się już w bezpiecznej przestrzeni. Nikt nie może mi udowodnić, że nielegalnie wtargnęłam na czyjąś posesję.

To nie koniec moich codziennych wyzwań. W kraju, w którym mieszkam, na zewnątrz można wychodzić tylko dzięki przepustkom. Oczywiście nie posiadam żadnej z nich, więc jeśli stróżowie prawa postanowiliby przeprowadzić kontrolę i sprawdzić mnie, otrzymałabym ogromnej wysokości mandat. Nie miałabym go z czego spłacić. Sęk w tym, że kłopot z zapłaceniem mandatu byłby moim ostatnim problemem na liście. Nigdy nie zostałam zarejestrowana, nie byłam szczepiona. Nie ma dowodów na moje istnienie, bo żadne moje dane nie zostały zanotowane, więc nie powinnam istnieć.

Każdy obywatel La Plainy jest zmuszony do przyjęcia szczepionki ze specjalnym nadajnikiem. To on zawiera wszystkie informacje o tobie i dane, które sprawdzają osoby do tego upoważnione. To właśnie za jego pomocą rządzący mogą unieszkodliwić każdego, jeśli tego zapragną. Potrafią dzięki niemu manipulować myślami, emocjami ludzi czy też poruszać ich kończynami lub wywoływać u nich błahe albo śmiertelnie groźne choroby.

Na moje oko (a dokładniej ucho) brzmi to niewyobrażalnie strasznie, jednak niewiele osób zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Duża część społeczeństwa, sterowana przez propagandę mass mediów, uznała, że szczepionka jest ich wybawieniem od wszelkich chorób i zmartwień. Dodatkowo posiada ona jeszcze dużo innych funkcji. Dzięki niej można na przykład sprawniej się komunikować, badać swoje ciało, nawet sprawdzać pokonywane kilometry czy zjedzone bądź spalone kalorie. Nadajnik umieszczony pod skórą umożliwia także sprawdzanie informacji w internecie (lub innych źródłach), które są później przesyłane bezpośrednio do mózgu. Niby jest to kusząca funkcja, ale niebezpieczna dla naszego zdrowia, co nie każdy wie. Większość ludzi czerpie informacje tylko i wyłącznie ze swoich telewizorów, a tam szczepienia są przedstawiane jako cudotwórstwo, które ma na celu poprawić byt ludzi.

Nic jednak nie zmieni tego, że czasy znane doskonale wszystkim obywatelom La Plainy zakończyły się już lata temu. Ludzi ogarnęła ogromna panika. Zostali zastraszeni, uwierzyli niewłaściwym informacjom, przez co przestali wychodzić z domów. Bali się, że dopadnie ich śmiertelna zaraza. Przyglądali się innym krajom, gdzie ludzie ponoć umierali na każdym kroku. Szpitale miały być przepełnione zakażonymi, a dziennie miały umierać setki albo nawet tysiące osób.

W mediach pokazywano kościoły pełne trumien. Ludzie z dnia na dzień bali się coraz bardziej. Przystawali nawet rozmawiać ze swoją rodziną. Gospodarki wszystkich krajów zaczęły upadać. Co najgorsze, jak się okazało, ludzie nie umierali na zarazę, lecz popełniali samobójstwa. Wszystko to było spowodowane zastraszającymi się obostrzeniami i trudnościami, jakie zsyłali na nich rządzący. Epidemia spowodowana rzekomą zarazą stała się więc pretekstem, którym władza posługiwała się do okradania z majątków swoich obywateli.

Myśląc o tym wszystkim, wędrowałam opustoszałymi ulicami. Nie widziałam nigdzie nawet żywej duszy. W oddali słyszałam śpiew ptaków. Próbowalam im wtórować, nucąc wraz z nimi dobrze znane mi piosenki. W takich momentach zapominałam o troskach i cieszyłam się chwilą. Szłam tanecznym krokiem, zupełnie nieświadoma tego, co zaraz może się wydarzyć.

Ostatnie słowa piosenki utknęły mi w gardle.

Zostałam otoczona.

Stróżowie prawa musieli odkryć prawdę o tym, kim jestem i co zrobiłam. Pomimo moich protestów i krzyków unieruchomili mnie, wstrzyknęli mi coś pod skórę, po czym oznajmili, że odpowiem przed sądem.

Kiedy próbowałam ponownie protestować, walczyć lub uciekać, jeden z nich znacznie zbliżył się do mnie.

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Wszystko się ułoży, obiecuję – wyszeptał.

Przyjrzałam się mu i odkryłam, że jest moim dawnym przyjacielem. Postanowiłam zaufać jego słowom, dlatego pozwoliłam obezwładnić się i zaprowadzić do furgonetki, w której miałam czekać na swój proces sądowy.



Gdyby miało nie być jutra

Przerzut do płuc. To ostatni fragment wypowiedzi lekarza, który zarejestrował mój mózg. W jednej chwili poczułam w głowie coś w rodzaju rozbijającego się o posadzkę szkła, z drugiej zaś strony – drastyczną pauzę. Wszystko stanęło w miejscu. Tylko ja, wzburzona niczym morska piana, wykrzyczałam w stronę nieba: „Czy to naprawdę już koniec?”. Wybiegłam z gabinetu, który przeszło jedynie echo trzasku drzwi i łez mojej matki.

Niespełna miesiąc wcześniej na moim blogu, gdzie opisywałam dotychczasowy przebieg choroby, pewien nieznajomy pod jednym z postów zadał mi dość intrygujące pytanie. „Co byś zrobiła, gdyby miało nie być jutra?” – przeczytałam, uświadamiając sobie jednocześnie, że niemal codziennie żyję w niepewności. „To logiczne, że moje jutro może nie nadejść” – parsknęłam śmiechem.

Nogi ugiwały się pode mną z każdym kolejnym krokiem. Oczy zaszyły mi mgłą i ostatkiem sił wystukałam numer do Liv. Pośredniczki między mną a moimi wewnętrznymi rozterkami. Jako pierwsza i jedyna wydobyła ze mnie pokłady energii, które pozwoliły mi żyć w zgodzie z tą całą niesprawiedliwą sytuacją. Rak pożerał mnie, ja przygnębieniem pożerałam samą siebie, a Liv w tym samym czasie walczyła o to, żeby nas rozdzielić.

– Będę za dziesięć minut – odparła przejęta Livia Stivens, rozłączając się i jednocześnie odpalając silnik starego cadillaca z '86.

Natychmiast wyciągnęłam z mojej starej szkolnej torby notes. Musiałam czymś zająć głowę. Na przedostatniej stronie dawno temu nakleiliśmy niedbale mapę świata. Miała pozaginane rogi i rozdarcie na środku, a mimo to urzekała mnie przy każdym kolejnym spojrzeniu w głąb rozlewu kontynentów. W tym momencie podniosłam wzrok. Nade mną stała Liv, wyjątkowo podekscytowana, z pęczkiem malutkich pinezek w dłoni. Wyrwała notes z mojej ręki i poklepała mnie po ramieniu, mówiąc:

– Martine, tak nie wygląda koniec. Tak wygląda początek czegoś wielkiego.

Wszystko stało się czarne. Moja przyjaciółka rozplynęła się jak rozlany na gąbkę atrament. Stałam nad przepaścią, skały osuwały mi się spod nóg. Rozpostarłam ręce na wzór skrzydeł samolotu, usiłując złapać równowagę. Wtedy zobaczyłam siebie, tonącą w rozpaczy. Obok mnie siedzieli równie zdruzgotani rodzice.

Nie tak powinno to wyglądać – to pierwsza myśl, jaka mi się nasunęła.

Przetarłam powieki. Powrócił uśmiech Livii i wiązki światła padające na jej twarz.

– Najpierw Azja? Może Kraj Kwitnącej Wiśni? – Wsadziła mi w dłoń pinezkę, kreśląc delikatne kółka kciukiem wokół wybranego kontynentu.

Ta wspaniała dziewczyna już od dziecka bujała w obłokach, a ja razem z nią. Była moim oparciem, fundamentem w snuciu i realizowaniu nierealnych dziecięcych marzeń. Livia wzięła akwarelową kredkę, dorysowała mi skrzydła i pozwoliła latać.

Aksamitne kimono otuliło nasze ciała, podczas gdy naszym oczom ukazała się majestatyczna góra Fuji. Nagle szereg retrospekcji powalił mnie na ziemię.

Pierwsza klasa szkoły podstawowej. Ławka tuż pod tablicą w sali matematycznej od zawsze należała do najwybitniejszej uczennicy. Livia Stivens poprawiła swój nieskazitelnie czysty szkolny mundurek i gestem ręki zaprosiła mnie na miejsce obok. W jej oczach ujrzałam iskierki. Sprawiały wrażenie szczeniackiej przysięgi, czegoś w rodzaju zaciśnięcia oplutej dłoni – symbolu wiecznej przyjaźni. Moje wrażenie stało się czymś więcej niż tylko suchym faktem. Stało się rzeczywistością trwającą całe moje dalsze życie.

Wróciłam. Ledwo zdążyłam spojrzeć w stronę notesu, a już Liv z silnym zamachem wbiła kolejną pinezkę. Disney World na Florydzie. Krępej budowy mężczyzna zamknął drzwiczki od naszego wagonu w kolejce górskiej. Radosny krzyk Liv, moje wymachiwanie rąk i włosy zasłaniające nam obu widok. Taki kształt przybrałaby definicja naszej przyjaźni, gdybym tylko zdążyła nadać jej formę.

Czułam, jakby czas przesypywał mi się przez palce, a ja, zamknięta w klepsydrze, uciekałam przed zsunieniem się na sam dół. Dźwięk rozbijanego o posadzkę szkła, klepsydra rozpadła się na milion kawałków. Wzięłam głęboki wdech i otworzyłam oczy. Livia ze spuszczoną głową zaciskała palce na mojej dłoni, zaś drugą ręką sięgała po chusteczkę ze szpitalnego stolika. Na kolanach pośród jej opadających włosów leżał notes otwarty

na przedostatniej stronie. Jedna pinezka z czerwoną główką wystawała z florydzkiego krajobrazu. Druga napotkała świeży owoc wiśni pośród tej specyficznej japońskiej architektury.

– Martine! – Rzuciła mi się na szyję, szybko żałując swojej decyzji. – Wybacz, nie spodziewałam się, nie wiem, co powiedzieć, ja...

Uśmiechnęłam się bezsilnie. Nie musiała już nic mówić. Dowiedziałam się później od lekarza nadzorującego i rodziców, że musieli mnie reanimować po tym, jak akcja serca samoistnie została zatrzymana. W tym wszystkim Liv, zachowując ostatki zdrowego rozsądku, zabrała mnie w jedną z moich zarówno ostatnich, jak i najwyższego lotu podróży. Nie pozwoliła mi się zapaść. Czym innym jest przyjaźń, jak nie wieczną podróżą na szczyt trasy kolejki górskiej, która nie ma końca, a której początkiem było ofiarowanie sobie wzajemnie skrzydeł?



Kwiat pandemii

Znów był piękny, słoneczny dzień. A Federico? Znów jedyne, co mógł zrobić, to łapać promienie słońca, siedząc na parapecie w swoim małym, przytulnym mieszkanku. Lubił tam przesiadywać niezależnie od okoliczności. W pełnym słońcu rozmyślało się najprzyjemniej. Uwielbiał, jak promyki otulały go ciepłem niczym najprzyjemniejsza z kołder. Na dodatek z jego ukwieconego balkonu rozpościerał się wspaniały widok na uliczki miasteczka. Iseo było piękne nawet z oddali, lecz Federico – jak każdy w czasach pandemii – marzył już tylko o wyjściu z domu. Doskonale zdawał sobie sprawę z tymczasowej nierealności swojego pragnienia, więc dalej siedział na parapecie, który po tygodniach zdawał się być jego najbliższym przyjacielem.

W notatniku młody mężczyzna szkicował wnętrze kawiarni. Nie miał to być zwyczajny lokal – to miał być jego lokal. W ogromnym skupieniu, płynnie przechodzącym w rozmarzenie, Federico wpatrywał się w tańczące na horyzoncie światła miasta, którym jak na razie mógł tylko pozazdrościć wolności.

Nagle w mieszkaniu naprzeciwko zauważył cień długowłosej dziewczyny. Wydawała się zdenerwowana. Ciekawski Federico podświadomie zaczął się jej przyglądać. Gdy nieoczekiwanie wyszła na balkon, mężczyzna jak gdyby nigdy nic wrócił do swoich szkiców, tylko ukradkiem rzucając na nią spojrzenia. Bezradnie obsunęła się po ścianie balkonu, siadając na podłodze. Bezradność i zagubienie były wręcz wymalowane na jej delikatnej, porcelanowej twarzy. Wpatrywała się spokojnie w przestrzeń, lecz Federico z łatwością mógł dostrzec, że w jej głowie dzieje się znacznie więcej. Po dłuższej chwili dziewczyna wstała i nie podnosząc nawet wzroku, wróciła do swojego pokoju.

Federico zastanawiał się, co też mogło się stać i jak może pomóc nieznamym. Może ktoś z jej rodziny zachorował? A może w obecnej sytuacji nie ma jak zarabiać? Chłopak zadawał sobie dziesiątki pytań, wiedząc, że na żadne z nich nie dostanie prędko odpowiedzi. Obawiał się, że jeśli młoda dziewczyna martwi się czymś tak bardzo, nie może być to zwyczajny problem.

Po wielu godzinach zastanawiania się, jak nawiązać z nią znajomość, doszedł do wniosku, że nic wymyślnego nie będzie na miejscu. Wyobrażał sobie niestworzone, filmowe

wręcz sposoby, które mogłyby mu pomóc w rozpoczęciu rozmowy. Federico był marzycielem, ale był też bardzo inteligentny i starał się postępować racjonalnie. Takie dziwne zachowanie mogłoby ją speszyć lub przestraszyć. Postanowił więc przy najbliższej okazji zagadnąć intrygującą sąsiadkę, poruszając jakiś neutralny, bezpieczny temat, taki jak pogoda czy tęsknota za życiem poza domem. Fantazując o ich pierwszym spotkaniu, Federico położył się spać, chcąc przyspieszyć obrót spraw.

Minęła noc. Chłopak wystrzelił z łóżka jak szalony, mając nadzieję na niesamowity dzień. Czym prędzej ruszył do kuchni po poranną kawę i już po chwili popędził z nią na balkon. Cały dzień siedział sam, wyłącznie ze swoimi myślami. W pewnym momencie dostrzegł wreszcie iskierkę nadziei, i to dosłownie – w pokoju nieznajomej zapaliło się światło. Niedługo potem zapadł zmierzch. Chłopak siedział na balkonie jeszcze kilka godzin, notując pomysły na kawiarnię, jednak nie był tak skupiony jak zwykle. Jego głowę zaprzętały zupełnie inne myśli. W końcu nastąpiła ciemność. Zawiedziony, lecz nie zaskoczony Federico wszedł do środka. Wciąż nie mógł przestać myśleć o młodziutkiej sąsiadce. Dlaczego obraz dziewczyny, którą widział jeden, jedyny raz, i to tylko przez chwilę, tak bardzo nim zawładnął?

Kilka kolejnych dni Federico spędził dokładnie w ten sam sposób. W końcu dziewczyna pojawiła się na balkonie, znów wyraźnie przygnębiona. Po dłuższej chwili Federico odważył się wykorzystać wymarzoną chwilę. Zdziwiona, lecz zaintrygowana Lauren – bo jak się okazało, tak miała na imię – z chęcią wdała się w rozmowę. Pochodziła z Norwegii, we Włoszech mieszkała od początku studiów. Z tego wynikał jej największy problem – była tu zupełnie sama. Mogłoby wydawać się, że w takiej sytuacji znalazło się wiele osób, ale to był co innego. Lauren była pielęgniarką. Młoda, świeżo po studiach, pracowała w szpitalu niespełna rok. Nie radziła sobie z natłokiem obowiązków, a wracając do domu, nie miała z kim podzielić się problemami, komu wygadać.

Po wielu godzinach rozmowy, już przy blasku księżyca, nowi znajomi zmuszeni byli się pożegnać. Ku radości Federico umówili się na następny dzień. Chłopak wrócił zadowolony do swojego mieszkania. Wtem przyszedł mu do głowy pomysł wręcz idealny. Mógł zaoferować Lauren nie tylko ramię, na którym mogłaby się wypłakać, potrafił dać jej jeszcze coś – umiał bowiem świetnie gotować.

Od tego dnia każde ich balkonowe spotkanie przeradzało się we wspólną ucztę. Codziennie tuż przed powrotem Lauren z pracy Federico przysyłał świeżo ugotowane przez siebie danie dnia – po sznurze przywiązany do balustrady. Dziewczyna była wniebowzięta. Na dodatek zaprzyjaźniony chłopak uczył ją, jak jeść po włosku, czyli jak wsmakowywać się w danie jak nigdy wcześniej.

Odtąd kwarantanna zdawała się płynąć im wręcz przyjemnie. W końcu, kiedy nastał dzień upragnionej wolności, nowo poznani sąsiedzi mogli zobaczyć się z bliska. Po tak długim czasie szansa złapania się za ręce była dla nich wręcz bezcenna. Pandemia, która dla wielu stała się dramatycznym końcem, dla nich okazała się być pięknym początkiem.



Najgorszy wróg Oskara

Oskar ma siedem lat. Jest w pierwszej klasie. Nie ma wielu kolegów, ale to mu nie przeszkadza... Zna sposoby, aby uciec z tego smutnego świata. Jako rycerz nie może przecież marnować czasu na jakieś bzdury, błahostki! Oskar nie lubi robić tego, czego nie lubi robić. Zazwyczaj kończy się to źle... Chłopiec łatwo wpada w złość, gdy coś dzieje się nie po jego myśli. Jego rodzice twierdzą, że „jest zbyt wybuchowy”, cokolwiek to znaczy.

Tego dnia Oskar wrócił ze szkoły nieco przygnębiony. Ogólnie był mało rozmowny, ale dzisiaj nie odzywał się prawie wcale. Rodzice nie mieli pojęcia, w jakim stanie jest ich dziecko. Jedynie zapytali chłopca: „Jak było w szkole?”. Otrzymali odpowiedź tę samą, co zawsze: „Dobrze...”. Oskar nie do końca wiedział, jak się czuje. Nie potrafił określić, czy jest smutny, a może zły. Jednak gdy usłyszał od taty: „Mówiłem ci już trzy dni temu, sprzątnij ten bałagan z biurka!”, to potrafił stwierdzić, co czuje. Doskonale wiedział, że jest podirytowany. Jeszcze nie na tyle, żeby zniszczyć wszystko, co stanie na jego drodze. Ale o to „zatroszczyła się” mama:

– Odrobiłeś już lekcje?

– Jeszcze nie, mam... – powiedział chłopiec.

– To dłużej zwlekaj! Jak ten plecak rzuciłeś? Chcesz go zniszczyć?

– Nie. Nie chcę – warknął.

– To dobrze, zapłaciłam za niego. Tak samo jak za zeszyty, w których powinieneś odrabiać lekcje, a tego nie robisz. Wiesz, która jest godzina? Wpół do szóstej! Lekcje same się nie odrobiją.

– Ale ja właśnie...

– Żadnych „ale”! Lekcje mają być odrobione. Za pół godziny sprawdzę twoje zeszyty.

Mama wyszła z pokoju Oskara. Chłopiec był wyraźnie zły. Mówiono mu, że nie powinien okazywać swojego gniewu. Jednak gdy ukrywał swoje emocje, stawał się nie do zniesienia. Zbierały się one w chłopcu jak śmieci w koszu, które, gdy jest ich za dużo, wysypują się całą stertą. Oskar nie chciał odrabiać lekcji. Najpierw musiał zająć się gniewem. Wyobraził sobie, że siedzi na koniu.

Przygotowuje się. Już za chwilę... Rozpocznie się turniej! Oskar w połyskującej, rycerskiej metalowej zbroi, z kopiań w jednej ręce, z tarczą w drugiej. Zaraz ruszy. Cała widownia kibicowała jego przeciwnikowi. Cała oprócz króla i królowej, bo oni nie kibicowali, tylko bacznie obserwowali sytuację na arenie. Ale chłopiec się nie poddawał, wiedział, że nigdy nie wolno tracić nadziei. Wszyscy gotowi! Konie ruszyły! Trach! Jeden z rycerzy spadł na ziemię. Ale który? Wielka chmura pyłu zasłoniła arenę. Po chwili można było zauważyć, że przeciwnik Oskara leży na ziemi. Miś Konrad nie mógł wygrać tego starcia. Teraz leży bez ręki na dywanie w pokoju chłopca. „To była niełatwa walka, ale sobie poradziłem – pomyślał. – Teraz jest mi lżej. Mogę odrabiać lekcje”.

Po jakimś czasie przyszła mama. Oderwana ręka misia nieco ją zdziwiła, ale nic z tym nie zrobiła. Sprawdziła zeszyt chłopca i okazało się, że wszystko miał dobrze. Mama była nawet zadowolona ze swojego synka. Ale jeszcze coś ją gryzło.

- Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałam – powiedziała.
- Nic się nie stało, mamo. Każdy może mieć czasem zły dzień.
- Ale to nie oznacza, że mogę na ciebie krzyczeć. Przepraszam.

Następnego dnia Oskar i tata poszli do sklepu. Dopiero dzisiaj, bo jest sobota i Oskar nie idzie do szkoły. Gdy oglądali sklepowe półki, chłopiec znalazł coś dla siebie.

- Tato, mogę?
- Oszałałeś? To kosztuje dwieście złotych!
- Ale tato, to makieta zamku średniowiecznego.
- Nie!
- Ale... Makieta...
- Powiedziałem: „nie”. „Nie” i koniec.

Oskar był naprawdę zły. Tupał nogą i chciał zniszczyć kolejną rzecz. Chłopiec zawsze chciał pojechać do Malborka, do prawdziwego zamku. Makieta pomogłaby mu wyobrazić sobie jego wnętrze.

Gdy sytuacja się uspokoiła i Oskar wraz z tatą wyszli ze sklepu, chłopiec zauważył mężczyznę, który zachowywał się co najmniej nieuprzejmie. Obrażał i krzyczał na kobietę, która stała obok.

- Tato, dlaczego ten pan krzyczy na panią?
- Bo nie jest rycerzem...
- Nie rozumiem.

– Każdy rycerz musi przestrzegać kodeksu rycerskiego. To jest taki zbiór zasad. Dobry rycerz musi być uprzejmy, uczciwy, odważny, hojny i dzielny. A ten pan taki nie jest. Rycerz powinien być opanowany, a nie wybuchać gniewem.

Oskar nic nie mówił. Wciąż myślał o kodeksie. Gdy wrócili do domu, tata opowiedział mamie, co zaszło w sklepie.

– Oskarku – powiedziała mama – przez kilka ostatnich dni myślałam o twoim zachowaniu. Chcę ci pomóc w przewyciężaniu gniewu. Zobacz, gdy się złościś, to tak, jakby śmieci napełniały kosz. Gdy jest ich za dużo, wysypują się. Wtedy wybuchasz gniewem. Potrafisz nawet zepsuć swojego ulubionego misia Konrada. Gdy będziesz stopniowo wyładowywał złość, zamiast ją zbierać, nie będzie strat. Jeżeli będziesz zły, weź kartkę i kredki. Narysuj swój gniew. Możesz narysować potwora albo kompletny nieład, chaos. Pokaż mi, jak bardzo jest zapełniony twój „kosz”, jak bardzo jesteś rozgniewany. Zobaczysz, szybko ci minie.

Odtąd Oskar nie lubił gniewu. Wcześniej nie myślał, że jest jego przeciwnikiem. Teraz, gdy staje się prawdziwym rycerzem i w całości przestrzega kodeksu rycerskiego, wie, że nie powinien się złościć. Wyobraża sobie gniew jako niezbyt trudnego przeciwnika. „To w sumie trochę głupie, że tak potężny przeciwnik jak złość daje się pokonać za pomocą kredek i papieru – myśli chłopiec. – Ewentualnie jakiejś książki, którą lubię czytać”.